

Wojny, zwycięstwa, propaganda

9 lutego 2015

Żadna inna aktywność gatunku homo rzekomo sapiens nie potrzebuje tylu i tak zafałszowanych mitów, co wojna w każdej swej fazie. By rządzące elity mogły zacząć wojować, muszą zapewnić sobie przy pomocy odpowiedniej propagandy poparcie poddanych (to oni będą przecież za to płacić i ginąć), oraz znaleźć pretekst. Każda wojna rozpoczynana jest więc „w imię boże”, „by usunąć zagrożenie”, „o słuszną sprawę”, „o sprawiedliwość”, „o wolność i demokrację”, „w obronie tego czy owego”, „o pradawne ziemie”, „w odpowiedzi na atak”. Gdy już się toczy, trzeba utwardzać kręgosłup społeczeństwa przy pomocy opisów waleczności, bohaterstwa i odwagi, dumy z wygranych bitew, peanów na cześć rządzących i narodu za wytrwałość, idealizm, dzielność i honor w obliczu wroga. Gdy się wreszcie skończy, trzeba się pochwalić zwycięstwami. Jeśli nie zbrojnymi to przynajmniej moralnymi czy prestiżowymi. Takimi jak nasze polskie Westerplatte i powstanie warszawskie, czy australijski Anzac.

Baśnie wojenne, bo do tego sprowadzają się te legendy dla dorosłych, tak samo jak bajki dla dzieci malują maksymalnie uproszczony i polukrowany obraz, i pomijają zarówno prawdziwe przyczyny konfliktów, jak bestialstwo, okrucieństwo i brutalność walk i bitew, jak wreszcie koszty i jałowość ewentualnych zwycięstw.

W rzeczywistości, wszystkie wojny wszczynane są dla wąskich interesów rządzących elit i sprzedawane poddanym w opakowaniu jakiejś popularnej idei – walki o prestiż władcy czy kraju, o przestrzeń życiową, o demokrację, o humanitarne ideały, o usunięcie „zagrożenia dla pokoju”. Nie ma znaczenia, czy to król, cesarz czy dyktator chce cieszyć się sławą niezwyciężonego „boga wojny” lub „wodza” jak Napoleon lub Hitler. Nie ma znaczenia czy to społeczeństwo Stanów Zjednoczonych łudzone jest, jak dawniej Anglicy, wiarą w

Manifest Destiny (boskie przeznaczenie) czyli przywilej Narodu Wybranego pozwalający ich krajowi (a tak naprawdę rządzącej oligarchii) urządzać świat po swojemu. Nie ma znaczenia czy to zastraszone wyimaginowanym i/lub wyolbrzymionym zagrożeniem naród kibicuje wojnom przewencyjnym, będącym niczym innym jak zawołaną agresją. W każdym przypadku korzyści z wojen rozpętanych pod tymi flagami i nagłówkami płyną do oligarchicznej elity, której dostają się gigantyczne zyski z produkcji broni, łupy wojenne, nowe tereny do eksploatacji, prestiż polityczny i uwielbienie otumanionych propagandą mas, które za to wszystko nieświadomie i naiwnie płacą, pieniędzmi, krwią i swoim oraz cudzym życiem. Wszystkie wojny są potwornie niszczące dla każdej dziedziny życia – kulturalnej, materialnej, psychicznej, moralnej, a zakres zniszczeń jest wprost proporcjonalny do zaawansowania technologicznego wojujących. Wyjątkiem i jedyną dziedziną, której wojna naprawdę służy to nauka i technologia, gorączkowo finansowane i rozwijane na potrzeby wojenne. Rozważanie czy jest to warte milionów ofiar, kalectwa, tortur, zbrodni i straszliwych zniszczeń towarzyszących wojnom nie jest tematem tego artykułu, wystarczy powiedzieć, że bilans prawie na pewno jest zawsze ujemny.

Większość wojen kończy się zwycięstwem jednej ze stron. W mitach zwycięstwo ma zawsze słodki smak, okrywa chwałą władcę, kraj czy naród i przynosi dywidendy całemu społeczeństwu. Rzeczywistość jest mniej świetlana i tak samo prawdziwa, jak „żyli długo i szczęśliwie” w bajkach dla dzieci. Dywidendy i zyski, zarówno materialne jak i polityczne zgarnia bowiem prawie wyłącznie elita, podczas gdy poddani płacą zubożeniem oraz kalectwem fizycznym i psychicznym.

Co to jest jednak zwycięstwo? Do niedawna łatwiej było je zdefiniować – zapewniało utrzymanie się na tronie i gloryfikację władcy, było zdobyciem, złupieniem i zagarnięciem terytorium, usunięciem lub zastąpieniem „ich” elity przez własną, czy wyciśnięciem kontrybucji lub okupu z pokonanych.

Szeregowym poddanym nie robiło aż tak wielkiej różnicy, byli często grabieni i gwałceni przez armie obu stron, ci przegrani po zakończeniu wojennego łupiestwa i przemocy dostawali po prostu innego Pana, któremu musieli płacić czynsze i podatki. Odkąd jednak poczucie wspólnoty i jedności narodowej rozszerzyło się na całe społeczeństwa, sprawa się skomplikowała. Zdobycie cudzego terytorium i zniszczenie lub upokorzenie elit nie zapewnia już bierności mieszkańców, nie gwarantuje zatem ani długoterminowego pokoju, ani bezbolesnej eksploatacji zdobytcy.

Historycy i teoretycy militarni zadziwiająco mało czasu i uwagi poświęcają definiowaniu i analizowaniu terminu „zwycięstwo”. Jest to być może spowodowane po pierwsze trudnością znalezienia dla niego odpowiedniego miernika, po drugie zaś nieprecyzyjnym charakterem, gdyż stosowany jest on zarówno do wygranych potyczek i bitew jak i do rezultatów całych wojen. Ten brak jednoznacznej, ściśle sformułowanej definicji stwarza szerokie pole działania dla propagandy i ułatwia powstawanie rewizjonistycznych mitów w rodzaju „dolchstoss” na temat klęski Niemiec w I wojnie światowej, który uitorował Hitlerowi drogę do władzy i do rozpętania nowej wojny.

O ile wygrana w bitwie może być oparta na twardych statystykach strat ludzkich i materialnych, o tyle wygrana w wojnie jest o wiele trudniejsza do jednoznacznego zmierzenia i określenia. Do ogłoszenia zwycięstwa można użyć bilansu zysków i strat, podobnie jak w przypadku bitew, choć jest to wielkim uproszczeniem, bardziej przydatnym dla propagandy niż rzeczowej analizy, nie bierze bowiem pod uwagę ani dalszych konsekwencji wojny, ani perspektywy historycznej. Można pochwalić się zniszczeniem potencjału ekonomicznego i wojskowego przeciwnika i zmuszeniem go do bezwarunkowej kapitulacji. Można, co jest bardziej rzetelne, ogłosić je w oparciu o stopień spełnienia planów wojennych i politycznych. Najbardziej jednak uczciwym i naukowym podejściem jest użycie

analizy długoterminowych skutków wojny, czyli przyjrzenia się im po upływie paru dziesięcioleci.

Von Clausewitz za zwycięstwo uważał spełnienie politycznych celów i zadań zwycięzcy, poprzez zniszczenie materialne i psychologiczne przeciwnika, a za dowód wygranej zdolność do osiągnięcia i zachowanie pokoju. Dużo wcześniej autor „Księcia”, Machiavelli pisał o „trwałym zwycięstwie” wymagającym dwóch składników: po pierwsze akceptacji klęski przez pokonanego i pogodzenia się przez niego z niemożnością jej odwrócenia przez walkę, dyplomację czy propagandę; po drugie potraktowania pokonanych przez zwycięzcę jako partnerów w nowym porządku politycznym. Tak więc i Clausewitz i Machiavelli, a za nimi inni teoretycy wojskowości stawiają TRWAŁY POKÓJ jako probierz prawdziwego zwycięstwa.

Dla wszystkich znających historię jest oczywiste, że wedle tego kryterium, bardzo niewiele wojen jest w rzeczywistości naprawdę wygranych. Na przytaczanie przykładów brak tu miejsca i czasu, spróbujmy jednak zastosować je do niedawnych, lub toczących się obecnie konfliktów.

Na początek, ten najdłuższy, najbardziej zażarty i uporczywy – syjonistycznej kolonii z autochtonami o zrabowaną im ziemię w Palestynie, i z regionem. Od początku swego istnienia kolonia wygrała prawie wszystkie bitwy i wszystkie bez wyjątku wojny. Nie zrealizowała jednak ani swego celu politycznego – podboju całej Palestyny i wyparcia z niej rodzimej ludności, ani nie ma najmniejszych szans na zmuszenie przeciwników do pogodzenia się z porażką, a wreszcie jej doktryna polityczna i wojenna absolutnie wyklucza traktowanie drugiej strony jako partnerów. Wszystkie zwycięskie fanfary Tel Awiwu są zatem okłamywaniem siebie i świata.

A dalej, wojna Stanów Zjednoczonych i ich krajów wasalnych z „terrorem” i z „islamskim radykalizmem”. Przede wszystkim trzeba tu podkreślić, że te wszechobecne w mediach i świadomości zachodnich społeczeństw hasła są nonsensownymi

propagandowymi absurdami, celowo zacierającymi naturę konfliktu. Terroryzm jest TAKTYKĄ słabych w konfrontacji z przytłaczającą przewagą przeciwnika, islamski radykalizm jest mającą korzenie w skrajnej interpretacji Islamu ORIENTACJĄ POLITYCZNĄ. Są to zatem niematerialne abstrakcje, wojowanie z którymi jest niemożliwe przy pomocy żołnierzy, bomb i dronów. Owszem, USA et consortes toczą wojnę, a raczej wojny, jednak nie z ideami, ale z organizacjami politycznymi realizującymi te idee, a wyłonionymi przez społeczności na amerykańskim celowniku, w odpowiedzi na politykę Ameryki. W wojnach tych nie chodzi o zniszczenie terroryzmu czy islamizmu/dżihadyzmu, bo idei zniszczyć bombami się nie da, ale o zmuszenie islamskich społeczeństw Bliskiego Wschodu do bezwarunkowego uznania prymatu Ameryki i interesów gospodarczych i strategicznych jej elity nad ich własnymi, oraz do uległości imperialnym dyktatom Waszyngtonu. Islam, Islamizm, itp. są tu tylko ideowym „chłopcem do bicia”, bo gdyby bliskowschodni „tubylcy” walczyli pod sztandarami Latającego Potwora Spagetti, albo rastafarianizmu, a nie islamu, sytuacja byłaby taka sama. Tak czy inaczej, pomijając już absurd zbrojnego wojowania z ideami, USA nie mają szans ani na zrealizowanie swych celów politycznych – zduszenia rebelii post-kolonialnego Bliskiego Wschodu i zmuszenie jego mieszkańców do pogodzenia się z amerykańską dominacją, ani nie mają (jak na razie) zamiaru potraktowania ich jako partnerów, których potrzeby i przekonania należy wziąć pod uwagę. Dlatego przechwałki o „Skończonej Misji” („Mission Accomplished”), czy o „zmuszonej do ucieczki Al-Kaidzie”, czy o „ustabilizowanym Afganistanie” (że nie wspomnieć już o Iraku), są tylko pragnącym hałasowaniem pustej beczki.

Zwycięstwo sensu stricto w obu tych konfliktach jest w obecnych układach całkowicie niemożliwe. Jest prawie pewne, że przywództwo polityczne zarówno syjonistycznej kolonii, jak i Stanów Zjednoczonych zdaje sobie z tego sprawę, jednak kontynuowanie wojen służy interesom rządzących oligarchii, umożliwia bowiem pompowanie kolosalnych sum z kieszeni

podatników przez koncerny zbrojeniowe, generalicję i idących na ich pasku polityków. Ci sami podatnicy w taki czy inny sposób spłacą również gigantyczne i wciąż rosnące długi zaciągane na zbrojenia i prowadzenie wojen. W sumie, jest to typowa dla ostatnich 30 lat prywatyzacja zysków i nacjonalizacja strat.

Jest to bardzo groźna sytuacja. Wojny są z natury wyjątkowo ryzykownym przedsięwzięciem. Przyczyną tego jest, jak pisał w swej książce „Zasady Wojny” teoretyk wojskowości, Carl von Clausewitz, ich natura, nie pozwalająca ani na regulowanie i ograniczenie stopnia przemocy, ani na wiarygodne przepowiedzenie ich skutków, prawie zawsze pociągających za sobą „nieprzewidziane konsekwencje”, czyli rebelie, terroryzm, czy kolejne wojny. Wygrywanie bitew, czy nawet całych wojen nie gwarantuje zatem trwałego pokoju, czyli PRAWDZIWEGO zwycięstwa. To nie przypadkowo król Pyrrus zdobył sobie miejsce w historii. Mimo że Stany Zjednoczone i syjonistyczna kolonia posiadają obecnie ogromną przewagę materialną i logistyczną nad przeciwnikami, ciągłe podwajanie przez nie stawki (doubling down) poprzez wciąż nowe daremne ataki i wojny ciągle powiększa ostateczne koszty rozwiązania konfliktów a także zwiększa ryzyko nieprzewidzianego wypadku mogącego prowadzić albo do ich klęski (jak w Wietnamie), albo do katastrofy globalnej.

Jak na razie, płacące za wojenne awantury społeczeństwa USA i ich satelitów są skutecznie mamione wojenną propagandą i odseparowane od skutków decyzji politycznych swych zaprzędanych grupom specjalnych interesów przywódców. Po zniesieniu poboru do wojska i zastąpieniu go rekrutacją najemników, synowie klasy średniej i wyższej prawie nigdy nie wracają już do domu w plastikowych workach. Ludzie widzą śmierć i zniszczenie siane gdzieś daleko przez bomby, Marines i drony tylko za szkłem ekranów TV, odpowiednio przefiltrowane przez oswojone media. Gdy z rzadka i wyjątkowo zetkną się z nimi bezpośrednio – jak w World Trade Centre 9/11, czy w

Londynie 7/7, czy w Madrycie, czy w Paryżu, ich gniew i oburzenie kierowane są nie przeciw tym naprawdę odpowiedzialnym za będące „nieprzewidywalnymi konsekwencjami” incydenty, ale przeciw zdesperowanym fanatykom szukającym rewanżu za to co się robi im i ich pobratymcom i przeciw stojącemu rzekomo za nimi wyimaginowanemu wrogowi – „islamofaszyzmowi”, stworzonemu na potrzeby wojennej propagandy elit. Są rozmyślnie utrzymywani w niewiedzy, że historia konfliktu z Bliskim Wschodem nie zaczyna się od 9/11, ale od 1991 r. – pierwszej wojny z Irakiem i morderczej blokady tego kraju, od 1996, 1993 i 1978 r. – napaści zbrojonej przez USA syjonistycznej kolonii na Liban; od 1967 r. – wojny 6-dniowej i okupacji Zachodniego Brzegu, od 1953 r. – zamachu stanu w Iranie; od 1948 r. – czystek etnicznych w Palestynie; od 1916 r. – układu Sykes-Picot dzielącego Bliski Wschód pomiędzy mocarstwa kolonialne; i że wszystkie incydenty terroru na Zachodzie mogą być tylko aktami rewanżu za tę historię i miliony jej ofiar.

Autorstwo: Herstoryk

Nadesłano do „Wolnych Mediów”

BIBLIOGRAFIA

1. Ian Bickerton, The Illusion Of Victory, Melbourne University Press, 2011.